



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Kaplica św. Kazimierza w katedrze wileńskiej.

Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego.

Kroniki i kronikarze. — Kadłubek.

Wkilkadziesiąt lat po Gallusie spotykamy się z drugim z kolei wybitnym kronikarzem. Jest nim Wincenty Kadłubek, tym razem nie cudzoziemiec, lecz Polak, proboszcz sandomierski, potem biskup krakowski.

Urodził się w drugiej połowie XII-go wieku w Karwowie, w sandomierskiej ziemi. Z pracy jego pisarskiej znać, że posiadał wyższe wykształcenie, a zdanie francuskie w Kronice spotkane domyślać się każe, że je zdobył we Francji. Na stolicy biskupiej; przebywał lat dziesięć, potem snąc dostojenstwem zmęczony ciszy zapragnął i znalazł ją w klasztorze Cystersów, w Jędrzejowie.

Gdzie i kiedy powstała jego Kronika,—niewiadomo. Może podczas pobytu w stolicy, obok króla Kazimierza, *) który oświaty dla narodu pragnąc, mógł skłonić biskupa do spisania dziejów ojczystych; może pod koniec życia w klasztorze zaciszu.

Różna ona od kroniki Gallusa. Kapelan Bolesława Krzywoustego, to kapłan-rycerz; pisze on prosto, jakby szabłą machał, opowiadanie jego toczy się wartko, strumieniowi górskiemu podobne, bez zboczzeń, bez ozdób stylowych. Kadłubek przeciwnie rozwija swą treść pomalutką, napomnieniami moralnymi opowieść przeplata, lubując się we własnym stylu, przyozdabiając go starannie. Przytem uczony biskup pragnie uczonością swą ze światem się podzielić, więc też obok dziejów kraju naszego spotykamy w kronice dużo szczegółów z historii starożytnych Greków i Rzymian czerpanych, dużo filozoficznych uwag i przypowieści.

Z tego znać, że czytał wiele, znać jednak i to, że z nabytą wiedzą nie zawsze umiał dawać sobie radę, że jej nie przetrwał należycie

Kadłubek nie poprzestaje na tem, co przed nim zebrał Gallus; on chce pójść dalej; pragnie szerzej opracować dzieje przedchrześcijańskie, nad którymi poprzednik jego bardzo krótko się zatrzymywał, i popęnia błędy ogromne.

Nie w tem dziwnego. Dociekania historyczne nad epoką, która zadanych dokumentów piśmiennych nie zostawiła, gdyż ludzi w niej żyjących nie stać było na nie, wymagają trudu wiele i umiejętności takiej, na jaką dopiero dzisiejsza nauka zdobyć się jest w stanie. Tam, gdzie trzeba wyrokować o przeszłości z podań i urywków ludowej pieśni, z wykopalisk archeologicznych, a czasem jeno, i to w najszczęśliwszym wypadku z krótkiej wzmianki w dziejach sąsiadów zawartej — tam pomylić się łatwo i dziś jeszcze. Błądził zatem biskup krakowski, który ostrożnością w słowie nie grzeszył, a miał natomiast dużo fantazyi i bujnej imaginacyi. Więc też rozpisuje się o wojnach Polaków z Aleksandrem Macedońskim, Grakkusowi czyli Krakusowi każe brać za żonę córkę rzymskiego Juliusza Cezara, snuje baśń o Leszkach, o zbrodni Popiela, jednym słowem tworzy całą historję bajeczną, którą po nim inni przez długie wieki powtarzać będą.

Pierwsze trzy księgi kroniki układa Kadłubek w formie dyalogu pomiędzy Janem, arcybiskupem gnieźnieńskim, a Mateuszem, poprzednikiem swym na krakowskiem biskupstwie. Układ ten dał przez długie lata powód do mniemania, że właściwym autorem

onych trzech ksiąg był tenże Mateusz, o przydomku Cholewa. Mistrzowi *) Wincentemu przyznawano zaś jedynie zasługę dopełnienia, ukończenia kroniki. Dziś błędny ten sąd odrzucono, sumienne bowiem badania nad charakterem całego dzieła, nad jego stylem wykazały, że twórcą od początku do końca był Kadłubek.

W księdze czwartej, w dziejach Mieczysława Starego i Kazimierza Sprawiedliwego schodzi on do formy zwyczajnego opowiadania. Nad Kazimierzem zaś trzymuje się najdłużej, rządu jego szczegółowo roztrząsając.

Z tego, cośmy wyżej zaznaczyli, wynika, że Kronika, jako źródło historyczne, niewielką posiada wartość. Nie sądźmy jednak autora jej zbyt surowo. Jeśli Kadłubek-dziejopis na krytykę zasługuje — to Kadłubek-filozof i nauczyciel po dziś dzień uznaniem cieszyć się winien. Dusza to prosta i w cnocie szczerze rozmiłowana.

Wierzy on mocno w sprawiedliwość Bożą i chce, by tę sprawiedliwość ludzie na ziemi czynili. Cieszy się więc serdecznie, gdy prawo bierze w obronę ubogich kmiotków, którym „wielmożni panowie, gdy się z orszakami w podróż udawali, nietylko zabierali plewy, siano i słomę, ale nawet do stodół i chat się dobierali, wydzierając zboże”... Natomiast oburza się, ilekroć sądy przedajne służą możnym, gnębiąc małych.

Stąd też cześć jego i miłość dla Kazimierza Sprawiedliwego, która w opowiadaniu o czynach tego króla na każdym kroku się przebija.

Oto dla przykładu bardzo charakterystyczny ustęp. Opowiada on o wypadku drobnym i mało znaczącym na pozór. A jednak w dokładności opisu, w troskliwym odtwarzaniu słów królewskich znać, że dziejopis dużą do wydarzenia tego przywiązuje wagę:

„Jak **) wielką była szlachetność jego (Kazimierza) duszy, łatwo tu opisać. Pewien młodzieniec namówił tego księcia, aby grali w kostki. Schodzą się i spotykają. W środku leży nadzieja szczęścia — wielka ilość srebra. Chwieje się czas niejaki szczęście wojenne, aż wreszcie rzut kostek los wojny rozstrzyga i wyrok zwycięstwa dla księcia ogłasza. Wtedy gracz uniesiony rodzajem szaleństwa, podniósł pięść, machnął nią mocno, uderzył w twarz księcia i uciekł, korzystając z ciemnej nocy, wymknąwszy się z rąk krzyczących ludzi. Ledwie go znalezione, zaraz stawiono przed sąd, wszyscy uznali go winnym zbrodni stanu i skazali na rozszarpanie. A gdy tenże niczego się nie spodziewał, jak tylko okrutnej śmierci, rzekł książę: „Nie unosić się surowością sędziowie, ponieważ jest znakiem nierozsądku gniewać się dla błahych przyczyn; niesłuszny tego gniew, którego umysł wewnątrz spokojny nie rozbierze po budek gniewu.

„Cóż bowiem gniewu godnego biedny Jan przewinił? (Tak się ów młodzieniec nazywał). Coby było, gdyby się sąd na ślepy traf uskarżał? A czyż to nie jest ślepy traf, kiedy w równej sprawie biednego pogrzebia a potężnego wywyższa? Niesprawiedliwym jest w obu razach, okrutny dla biednego, a pochlebny dla możnego. Słuszna jest zatem, że nie męcząc wyrzeczć zemsty za krzywdę na losie, usiłował ją wyrzeczć na dziecku losu. Aby raczej prawdę powiedzieć, zysk dodał do zysku, a fortunę moją zwyciężył darami. Ta mi dała pieniądze, których mam dosyć, on zaś obdarzył mię złotą roztropności ozna-

*) Wyraz Mistrz, od łacińskiego Magister, oznaczał wyższy stopień naukowy. Tytułem tym obdarzyli Kadłubka współcześni.

**) Przekład A. J. i M. S.

ką, bez której książę obejść się nie może. Roztropność mię nauczyła, że niebezpieczna jest dla księcia wdawać się w gry, niebezpieczniejsza jeszcze w najmniejszych nawet rzeczach spuszczać się na śliską ścieżkę losu. Rozumem bowiem powinni książęta rządzić, nie ślepym trafem”.

Kadłubek na równi z Gallusem dat nie podaje i kronikę swą chętnie wierszami urozmaica. Po śmierci Kazimierza wprowadza do opowiadania wierszowany dialog, w którym przy pomocy alegorycznych postaci: Smutku, Wesołości, Swobody, Roztropności, daje obraz zamieszania, jakie po królewskim zgonie na kraj spadło.

Na zakończenie jeszcze jedno; biskup krakowski acz Polak, po łacinie pisze swą kronikę. Fakt to znamieny i wypada się zastanowić nad nim.

Łacina przywędrowała do nas wraz z duchowieństwem przybyłem z zachodu. Bliską była temu duchowieństwu, jako język przez kościół w nabożeństwach przyjęty. Ponieważ zaś piśmiennictwo nasze początki swe książkom i zakonnikom zawdzięcza, więc też weszła za ich pośrednictwem mowa Rzymian do literatury polskiej i silne w niej zapuściła korzenie, z pominięciem języka ojczystego. Z początku, gdy jeno cudzoziemcy piszą — jest to naturalnem zupełnie. Z czasem jednak do pracy piarskiej stają kapłani-Polacy za nimi poczynają pomalu podążać świeccy pracownicy, a obyczaj używania wyłącznie prawie łaciny trwa wciąż, i wtedy to staje się on krzywdą ciężką, rodzinnej mowie wyrządzoną. Krzywda ta trwa niestety wieki całe. Dopiero w 16-em stuleciu zdobywa język polski stanowisko należące mu się jaknajśluszniej i oddawna w naszej literaturze.

Marya Dynowska.

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Maćko wahał się chwilę, sumował, dumał, ale w końcu dał się nakłonić. Jako nakazywała grzeszność, wszyscy domownicy wraz z rycerzem z Mielżyna odprowadzili przybyszów do komnat sypialnych i tu ich pozostawili po odpowiednich ceremoniach pożegnania. Maćka i Natana zastanowiło znów niemało, że Jarosz z towarzyszymi puścili przodem owego młodzika, którego nazwano Zbyszkiem z Piastowa i okazali mu względy, dając najprzedniejsze skóry w sypialni i wybierając miejsca najwygodniejsze.

— Natanie — rzekł Maćko, gdy starzy zostali sami, — znam cię, jako człowieka roztropnego i doświadczonego, powiedz mi zatem, co sądzisz o tych ludziach? W tem się coś kryje, ale co, tego zrozumieć nie mogę. — Starzy to ludzie, poważni i jak się zdaje, brać rycerska, gdzie wszyscy sobie są równi, a okazują takie względy i takie uszanowanie temu chłopcu, któremu jeszcze nawet wąsy nie zakwitają pod nosem, jak gdyby bożyszcze jakieś prowadzili z sobą,

— I ja ciemny jestem pod tym względem jako noc. Trzeba odczekać cierpliwie, a może po wyspaniu rozwiążą się im języki.

— Temu Jaroszowi nienajgorzej patrzy z oczu, jego towarzysze zaś wydają mi się także setnymi chłopami. Ale ten mnich, czy tam inny dyabeł widocznie boi się wzroku ludzkiego. Kilka razy próbowałem zajrzeć mu w twarz, ale on zawsze odwracał się, błędził oczami po ziemi i jakoś nie odważył się przemówić ani słowa.

— A czy wasza miłość spostrzeżliście, że ten Jarosz, tak skwapliwie rozprawiający o wszystkim, ani słowa nie dorzucił, gdy rozmowę kierowaliście na dwór księcia i osobę Sieciecha?

Maćko spojrzął na Natana, przystanął, rękę podniósł w górę i puknął się całą dłonią w czoło.

— Juźcić to prawda! Przypominam sobie całą rozmowę i widzę, że tak było, jako powiadasz. A no! Tem więcej teraz jestem pewny, że te Mazury nie bez celu zawitali do naszej ziemi wielkopolskiej. Jak tylko ocknę się, to zaraz wezmę Jarosza na spytki. Bóg z tobą, Natanie, a śpij spokojnie, boć chyba teraz nikt już nas więcej nie będzie budził po nocy.

Dla chłopców, Dobka i Kruszynki, którzy w Mielżynie nie widywali nikogo więcej oprócz domowników, ten pobyt w Gostyniu stał się wypadkiem niezwykłym. Zobaczyli ludzi chmarę, przysłuchali się wszelakim rozprawom, przypatrzyli się niejednej ciekawej opończy, niejednemu misternemu łukowi i sajdakowi, a w końcu jeszcze ta przygoda nocna do reszty rozbudziła fantazyę. I oni zauważyli tę niezwykłą atencyę, jaką starsi okazali młodzikowi, który wiekiem a wzrostem nie o wiele ich przewyższał. Przy rodzicu i Natanie nie śmieli się odezwać, ani robić uwag, ale kiedy wszyscy już ułożyli się do snu, w komnacie chłopców szepty i gawędy trwały w najlepsze.

— Mnie się ten mnich wcale nie podobał — zauważył Kruszynka — ma coś takiego w oczach, że człowiek mimowoli odwraca się od niego i czuje lęk. Kości na policzku występujące, włosy gęste, jak szczecina, a ręka jak u słonia.

— Et! nie gadałbyś, braciszku! Właśnie ta ręka wskazuje, że nie do różańca ona stworzona, jeno do łuku, topora i pałki. Kości mu wystają, powiadasz? Toć prawda, ale gdyby nas potrzymano w klasztorze, z pewnością zniknęłaby nasza okrągłość twarzy. W oczach nie widzę też nic złego, chyba tylko smutek wielki z nich przebija i skarży się ludziom. Nie wiemy, kto on taki, ten Zbyszko z Piastowa, aliści widzi mi się, że to jakiś bardzo nieszczęśliwy chłopiec.

— Nie chłopiec on, jeno już mężczyzna — odparł Kruszynka — mów ty jednak swoje, a ja wiem swoje i przyznaję, że wolałbym, ażeby jutro wyjechali sobie tak wcześniej, zanim jeszcze zbudzimy się ze snu.

Dobek aż rzucił się na posłaniu.

— Wiesz, Krucho, że cię kocham serdecznie, jak brata, ale ta podejrliwość twoja w obec ludzi, może naprawdę gniewać czasami. A przytem uparty jesteś, jak kozieł! Mnie ten Zbyszek podobał się bardzo i smuciłbym się szczerze, gdybym jutro nie znalazł sposobności do pomówienia z nim słów kilku. Wszystko, co jest tajemnicze, zaciekawia mnie zawsze, a widzę, że tutaj kryje się coś ciekawego. Ta jazda po nocy, ci panowie, którzy przybyli ze stron nieznanych, ten jego smutek i wreszcie względy, jakie towarzysze okazują Zbyszskowi, naprowadzają mnie na dziwne domysły. Czyżby ten człowiek nie był czasami...

Dobek nie domówił reszty i zatonął w dumańniach tem więcej, że Kruszynka ani myślał gawędzić i puszczając w niepamięć zajście dnia całego, przesunął się na drugi bok i zasnął snem twardym a zdrowym.

Chłopcy spali długo, nikt bowiem nie zwracał na nich uwagi, i chociaż stary Maćko nie lubił, ażeby młodzież wylegiwała się wtedy, gdy życie budzi się w okolo, to jednak tym razem sam wstawszy wcześniej, nie miał nawet czasu zająć się Dobkiem i Krużyną. Rycerz z Mielżyna, wyszedłszy na dwór, ażeby się przekonać o pogodzie, ku zdumieniu swemu spostrzegł, że w pełnej odzieży, czysto wymyty, świeży a rzeźki oczekiwał już na jego pojawienie Natan.

— Ranny ptaszek z ciebie — wesoło zagadnął Maćko.

— Dobre przysłowie mówi, że „pańskie oko konia tuczy” — odparł Juda niemniej swobodnie — dla tego też wstałem wcześniej, ażeby dojrzeć dobytku twojego, zarządzić uprzątnięcie izb i podwórza po wczorajszej gościnie, nakazać służbie pilnowanie gości, słowem załatwić wszystko, co należy. Zresztą nie spałem prawie wcale, kręciłem się trochę okolo domu.

Maćko bystro spojrzął na kupca.

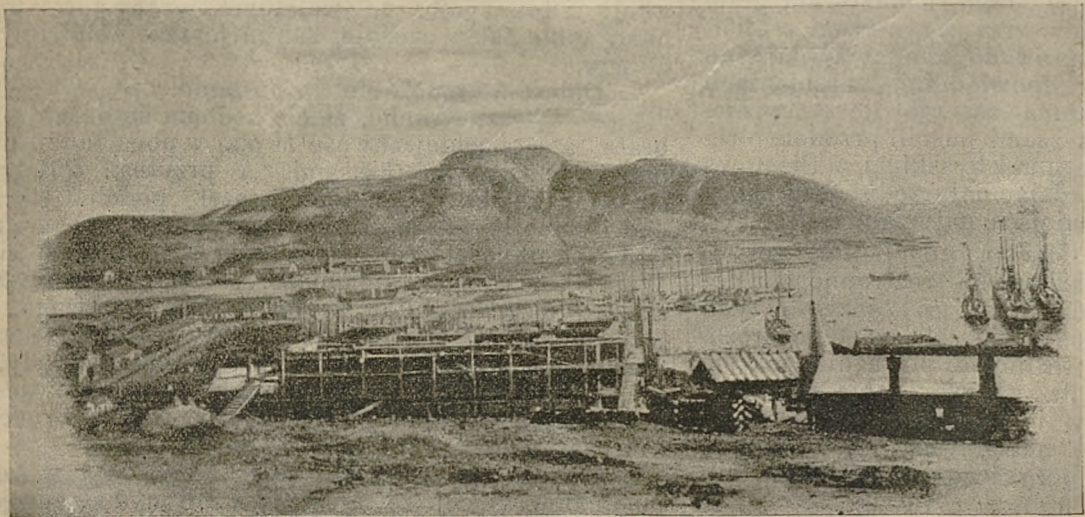
— Jeśli, jak powiadasz, „kręciłeś się okolo domu,” to chyba wiesz, co tam porabiali ci przybysze?

— Trochę wiem — filuternie rzekł Juda — i właśnie dlatego czekałem tutaj na wyjście waszej miłości, ażeby się podzielić wiadomościami. Każę wynieść ławę na dwór, usiądziemy w cieniu tego drzewa, a polewkę, którą dla waszej miłości przygotowują już pacholiki, milej będzie spożyć tutaj, aniżeli w zaduchu komnaty. Sprawię też, ażeby tu nas nikt nie podsłuchiwał.

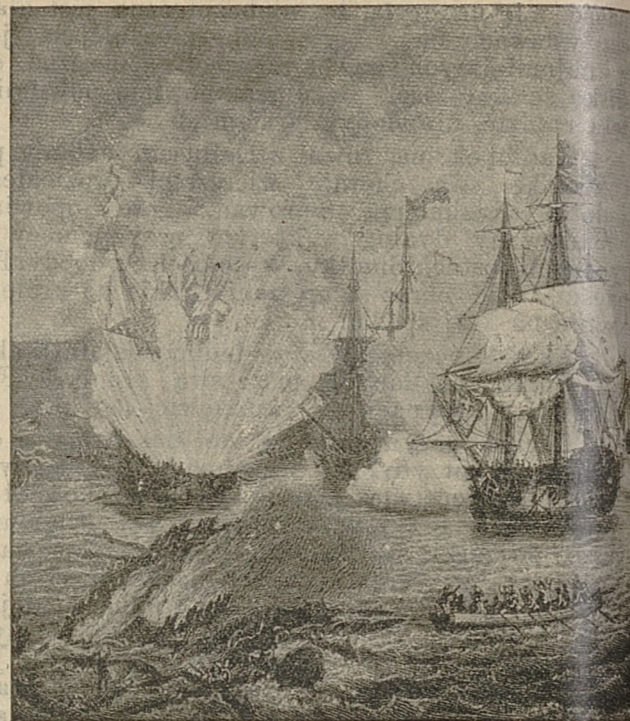
— Czyżbyś tak ważne chował tajemnice? — śmiał się Maćko.

— Zaraz się o tem przekonacie — zawołał Natan i szybko krzując się zaczął okolo wyniesienia ławy i podania polewki.

Dzień był przepiękny. Po deszczu wczorajszym wschodzące słońce ozłociło ziemię, a z traw, liści drzew i krzewów rozlewała się woń orzeźwiająca, którą wchłaniali w siebie łapczywie starcy, wypoczywający w cieniu lipy rozłożystej, skąd rozścielał się widok na daleką okolicę. Z szumiącego łagodnie pod stopami Świętej Góry strumienia wydobywał się szmer, nad polami unosił się skowronek i krążył pieśnią, płynącą ku niebiosom, umilając pracę kmięcia, który raznie i z ochotą krajał sochą skibę pulchnej ziemi, w krzewach wydzwaniał piosnkę radosną słowik, a z lasu, który niby korona wił się w okolo, dolatywał głos wilgi i kukułki.



Port Artur. (Nasze ryciny).



Bitwa morska w XVII wieku. (Do art. z N-ru 9).

Spożywszy śniadanie, Maćko rozejrzął się z łoboscią po niebie i ziemi, rzekł też, rozsiadając się wygodnie:

— Czyż nie wspaniała ta nasza ziemia wielkopolska? Wszystkiego wbród, i stawy a jeziora rybnego wszelakich pełne, i zwierza podostatkiem, i kłosa zgnę się ku ziemi. Człowiek mógłby tu żyć szczęśliwie, zażywając w pełni szczęścia i pokoju, gdyby tylko sąsiedzi nie trapiłi nas ustawicznie.

— Prawda to, wasza miłość, co mówicie — potwierdził Natan — możnaby tu żyć jak w raj i nie znać, co to bieda, lecz cóż począć, kiedy od początku świata tak było, i pono do końca będzie, że nie tylko zwierzę radeby wyrwać drugiemu kęs strawy, ale i człowiek człowiekowi.

— Nie odmienimy tego, mój Natanie, pogadajmy przeto lepiej o tych gościach, którzy przybyli ze stron dalekich, nie wiadomo po co i na co. Czegoż to dowiedziałeś się, „kręcając się” dzisiaj okolo domu? Swoją drogą, powiem ci, że to wcale rzecz nie piękna pod słuchiwać rozmowy cudze. Dobrze, że wiem o tem upodobaniu twojem, przebywając w domu twoim, będę teraz ostrożniejszy — śmiał się rycerz z Mielżyna.

— A jednak czasem przyda się mieć dobre uszy. Naprzykład w tym wypadku tylko pożytek przynieść może waszej miłości.

(d. c. n.)



SREBRNE ŁYŻWY.

VI.

Co Ben Dobbs widział w Amsterdamie. — Na drodze do Haarlem.

Wybiła godzina wielkiej wyprawy po lodzie.

Towarzysze Piotra, według obietnicy stali już na kanale, a Piotr van Holp stawiał się najpierwszy.

— Wszystko gotowe? Łyżwy dobrze przywiązane — pytał młody dowódca wyprawy.

— *Ya, Ya*, odpowiedział chór podróżników.

— Czy już wszyscy się zebrali?

I dla większej pewności, zaczął wywoływać kolejno:

— Jakób Poot?

— Jestem.

— Karol?

— Jestem, odparł wezwany tłumiając ostatnie ziewnięcie, wywołane przedwczesnym obudzeniem.

— Ben Dobbs?

— *Ya, oui, yes*. — odpowiedział młody poliglota.

— Lambert van Mounen?

— Obecny.

— Bardzo dobrze, cieszył się Piotr. Nasz nowy towarzysz, Ben, chociaż umie wypowiedzieć „tak” w czterech językach, byłby nieraz w kłopotach, gdyby ciebie zabrakło. Na szczęście, przyda ci się teraz twoja znajomość angielskiego języka. Będiesz tłumaczem Bena.

— Ludwik van Holp?
— Obecny.
— Voostenwalbert Szymelpennich?
— Nikt nie odpowiedział.
— Kazali malcowi zostać w domu — zaśmiał się Karol.

— Godzina nadeszła — rzekł kapitan. Powiedziano, że na nikogo czekać się nie będzie, tem gorzej dla śpiochów. No, towarzysze, już kwadrans po ósmej. Czas przepyszny, lód twardy, jak skała.

— W pół godziny będziemy w Amsterdamie. Raz, dwa, trzy...

Wyruszyli.

W pół godziny później łyżwiarze zatrzymali się przy wielkiej tamie mocno zbudowanej, a gdy ją minęli, znaleźli się w samym środku wielkiego Amsterdamu.

Chociaż połowa rządu przebywa w Hadze, miasto Amsterdam jest właściwie stolicą Holandyi. Nazwę swoją zawdzięcza ono rzece Amstel, która dzieli je na dwie części. Otoczone jest pasem wału, za którym w półkole błyszczą wody kanału. Te wały, służące dawniej obronie miasta, zamieniono obecnie w piękne aleje, po których spacerują mieszkańcy, a jest ich trzysta tysięcy.

Amsterdam, na palach zbudowany, obejmuje dziewięćdziesiąt wysp, połączonych stu trzydziestu czterema mostami. Dla tego, kto nie widział Wenecyi, jest to najdziwniejsze miasto w Europie! Wszystko tu niezmiernie zajmowało Bena. Chciałby wszystko obejrzeć, wszystko przykuwało jego uwagę. Kanały, mosty, okręty, wieże, pałac królewski (najpiękniejszy gmach nowożytny w Holandyi), szkoła marynarki i t. d., to wszystko widział tylko w przelocie. Lecz szczególny wygląd miasta, wąskie ulice, chodniki między dwoma kanałami, wysokie domy z błyszczącymi dachami, z kominami w kształcie wieł z szczególnymi ozdobami, składy hurtowników umieszczone na najwyższych piętrach i połączone z parterem specjalnymi przyrządami, szluz, ubiory najrozmaitsze ludności, zmieszanej z kupcami, którzy tu z różnych stron świata przybyli — sklepy i przyłepione do ścian świątyni mieszkanek, których kominy



Bombardowanie okrętu amer. u wejścia do zatoki Sant Jago de Cuba. (Do art. z N-ru 9).

biegły wzdłuż ścian kościelnych, sięgając ponad ich szczyty — to wszystko niezmiernie go zastanawiało.

Z wielkiem zdumieniem zauważył, że przy wszystkich oknach umieszczone są małe lusterka. Po długiej chwili dopiero zrozumiał, że są to szpiegi wygodne, nieme, mało kosztowne i nieprzekupne, które zastępują gadatliwych odźwiernych i pozwalają mieszkańcom wyższych pięt dojrzeć bez trudu, kto do bramy dzwoni, co dzieje się na ulicy a zarazem i u sąsiadów.

Pomimo szybkiego biegu Ben dojrzał wózki z drzewem w psy zaprzęgnięte; osły objuczone towarami, sanie nieustannie oblewane wodą, które gładko sunęły po bruku ulicznym.

Miasto wyglądało świątecznie. Sklepy jaśniały na cześć św. Mikołaja. Kapitan Piotr musiał dość często przywoływać do porządku *swoich ludzi*, bo co chwila zatrzymywali się przed kuszaczami wystawami wszelkich zabawek, które Holandia wytworzyła i wytwarza. Kraj ten słynie bowiem z przemysłu zabawkowego. Tu wszystko w miniaturze naśladować potrafią dla przyjemności malutkich. Zabawki mechaniczne małych rozmiarów mogłyby w każdym kraju służyć jako model w szkołach technicznych. Niema takiej maszyny, takiego narzędzia i przyrządu, któreby nie były wprowadzone do handlu zabawkami, w tej Holandyi, gdzie pożytek nigdy nie schodzi z pamięci. Dziecko obznajmia się w ten sposób z temi wszystkimi rzeczami, które później staną się narzędziami jego pracy.

Ben pomyślał o swoim braciszku. Pragnąłby przywieźć mu z Amsterdamu mnóstwo tych miniatur wielkich wynalazków. Ale jak to uczynić? Wędrownicy, kierowani iście holenderską rozumą, wzięli z sobą tylko tyle pieniędzy, ile było potrzeba dla opędzenia kosztów podróży. Oprócz tego postanowiono, aby wszyscy uczestnicy wzięli z sobą jednaką kwotę, a wreszcie wszystkie składki złożone zostały w kieszeni kapitana. Wobec tego biedny Ben mógł tylko w duchu myśleć o swoim braciszku.

Ze względu na gościa, nasza gromada zwiedziła najciekawszą część miasta, dzielnicę żydowską. Część najciekawsza ale nie najpiękniejsza, ani też bardzo czysta. Tutaj obrabiają drogie kamienie za małym stosunkowo wynagrodzeniem.

Ben radby zwiedzić jedną z takich szlifierni, ale na to nie było czasu i musiał zadowolnić się objaśnieniami Lamberta. Od niego dowiedział się, że dopiero w r. 1576 Ludwik de Berquem wynalazł sztukę szlifowania dyamentów dyamentowym proszkiem; odtąd dopiero można było szlifować brylanty w rozecie; przedtem otrzymywano tylko piramidę, czyli ośmiościan.

Pewien stary żyd jest tu mistrzem wśród szlifiery i zarabia tygodniowo po dwieście pięćdziesiąt franków. On to szlifował słynny Ko-hi-noor, za co otrzymał dziesięć tysięcy florenów.

— Chciałbym pokazać ci — mówił Lambert do Bena — ratusz miejski, ale jest on zbyt oddalony od naszej drogi. W owym gmachu same fundamenta już są cudem. Cztery tysiące palów wbitych na siedmdziesiąt stóp w ziemię — to nie bagatela! Ale też mają co dźwigać, bo...

— Stój! — zawołał kapitan, i Lambert nagle zamilkł. — Zdejmcie łyżwy, towarzysze, zakomenderował Piotr, stoimy przed gmachem muzeum, a prawy Holender nie ominię sposobności pokazania cudzoziemcowi obrazu Rembrandta i Rond nocny. Tylko ten jeden obraz obejrzysz, Benie, ale ręczę, że tego nie pożałujesz.

Ben uszczęśliwiony, byłby uściskał Piotra, ale czasu na to nie stało. Po dziesięciu minutach wyszedł olśniony, zachwycony, oczarowany.

— Jakież to wspaniałe, — wołał. Jakie światło, refleksy, jakie ciemności.

Ale Lambert nie podzielał zachwytów Bena. Stawiał o wiele wyżej *Lekcję anatomii*, znajdującą się w Hadze, od Rondu nocnego.

Przedewszystkiem rzecz dzieje się nie w nocy ale w dzień: dziwny to, co prawda, ciemny dzień w tym obrazie tytuł w błąd ludzi wprowadza, bo jest to poprostu wyjście oficera Bamimga i jego żołnierzy z koszar.

— Mniejsza o tytuł — wołał Ben — mniejsza o noc lub dzień; obraz jest cudownie piękny i nigdy go nie zapomnę.

(d. c. n.)

Koniec zimy.

Otulone w puch biały,
Drżą wśród boru sosenki,
Śnieg i lód je przybrały
W kryształowe sukienki.
Gdy kto w śnieżną tę głuszę
Wejdzie z mrokiem wieczoru,
Dziwne przejmą mu duszę
Jakieś szumy wśród boru:
Coś pod śniegu całunem
Zda się skarży się, płacze,
Sił spętanych zwiastunem
Coś tam tętni, kołacze;
Czasem — echo płaczące
Leśne głębie poruszy,
Jakby zdala bijące
Serce dzwonu w tej głuszy.
Kto za dźwiękiem tym zdoła
Przebrnąć puszczy gęstwinę,
W śnieg zawianą dokoła. —
Zajdzie w czaru krainę;
Tam gdzie żyją pierwiosnki
Nim przebiją darń w lesie,
Skąd promienie i piosnki,
Młoda wiosna przyniesie;
Gdzie oddawna wezbrany
Wre źróź życia i siły,
Z przyjściem wiosny świetlanej
Śnieżne stopi mogiły.
Srebrne lodu okowy
Darmo zdławić chcą ciepło —
Słońce w szacie godowej,
Zbudzi ziemi pierś skrzepłą.

Z. M.

Nasze ryciny.

Kaplica św. Kazimierza w katedrze wileńskiej.

Św. Kazimierz, którego uroczystość obchodzimy w dniu 4-go marca, był jak wiadomo królewiczem polskim, synem Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Habsburskiej. Umarł w młodym wieku, bo w 26-ym roku życia w Wilnie, gdzie go też pochowano.

Gdy w roku 1520-tym ogłoszono kanonizację świętobliwego królewicza, postanowiono uczcić go przez wzniesienie dlań w katedrze wileńskiej osobnej kaplicy; zamiaru tego dokonał ostatecznie Władysław IV-ty i wówczas to szczątki św. Kazimierza zostały

